



Na bagnach Luizjany sekrety toną powoli...
I zawsze wypływają na powierzchnię.

TAMTE DZIKIE DNI

ANNA BAILEY

ALBATROS

Tytuł oryginału:
OUR LAST WILD DAYS

Copyright © Anna Bailey 2025
All rights reserved

Polish edition copyright © Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o. 2025

Polish translation copyright © Małgorzata Stefaniuk 2025

Redakcja: Anna Walenko

Projekt graficzny okładki: Agnieszka Drabek / Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o.

Ilustracje na okładce: © Dukas/Universal Images Group/ Getty Images;
Shutterstock; Freepik

Wydawca

Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o.
Hłonda 2A/25, 02-972 Warszawa
e-mail: kontakt@wydawnictwoalbatros.com
wydawnictwoalbatros.com



Jakaś droga, jakieś drzewa

Dziewczynka wybiega spomiędzy drzew. Brudnymi podszewkami zniszczonych tenisówek wzbija kurz na drodze, gdy przez moment chwieje się, próbując odzyskać równowagę, ale się nie zatrzymuje – nawet po to, by odgarnąć z twarzy mokre od potu włosy. Ma zaledwie trzynaście lat, ale jest wysoka, przez co wygląda na starszą. W tej chwili jej pędzące naprzód ciało wydaje się czymś zupełnie poza kontrolą dziewczynki. Przy każdym kroku kolana pulsują jej bólem, ale nie zwalnia. Nie odważyłaby się.

Wieczorne powietrze jest gęste od duchoty, zupełnie jakby ktoś zostawił w pobliżu otwarty piekarnik. Po obu stronach drogi hiszpański mech fąluje na powykrzywianych konarach cyprysów; cienie zbierają się między starą chatą myśliwego polującego na kaczki a wrakiem łodzi rybackiej, której drewniany szkielet leży pośród chwastów niczym kości dawno padłego zwierzęcia. W górze księżyc przebijają się pazurami przez

plątanię gałęzi, a dziewczynka ogląda się przez ramię, dysząc tak mocno, że w kącikach jej oczu pojawiają się plamy koloru. W ustach czuje drobiny piachu, drapiące ją w gardło tak bardzo, że ma wrażenie, jakby krwawiło.

Ale droga za nią jest pusta. Mimo to biegnie dalej.

Z lasu nic nie wychodzi.

1

Parafia Assumption to w większości dzikie odludzie, z postrzępionymi lasami i siecią kanałów wodnych. W połowie rozdziela je jezioro Verret, które łączy się z wielką wodną arterią, rzeką Atchafalaya, w końcu trafiającą do Zatoki Meksykańskiej. Większość osiedli ludzkich znajduje się na wschód od jeziora – rozproszone małe miasteczka graniczące z polami uprawnymi – ale na zachodnim brzegu też są osady, ukryte pośród drzew i bagien. W Jacknife billboard reklamuje wykrywacze metali, amunicję i lody w rożku. Na budynku pralni chemicznej ciemne pęknięcia przy rurach wyglądają jak rdza wnikać w farbę. Wyblakły drewniany koń, jakby z karuzeli, rzuca skaczący cień na chodnik, który kawałek dalej tonie w chwastach. Pobocza zaśmiecane są opakowaniami po fast foodach. Jacknife to nie jest miasteczko, w którym ludzie przemieszczają się pieszo – upał by ich powalił, zanim zdołaliby dotrzeć do celu.

Na rogu Main Street lokalny bar stopniowo zanurza się w podmokłe tereny za nim. Unoszący się w środku zapach to mieszanka chemikaliów z fabryki tworzyw sztucznych przy kanale

i gorzkiej czarnej kawy, którą robotnicy z fabryki i rybacy piją przed pracą. Światło świetlówek, brzęczących od piątej rano do dziesiątej wieczorem, odbija się w wyblakłym linoleum i laminowanych blatach. Całe to miejsce poci się w upale południowej Luizjany.

Szyld na zewnątrz, nabazgrany markerem i wciąż poprawiany przez lata, zachwala *stek z miejscowego aligatora – tak dobry, że język wyjdzie ci uszami!* Gdy Cutter Labasque była dziewczynką, wielokrotnie widziała, jak jej bracia próbowali nasikać na ten szyld. Tylko Dewallowi, jako najwyższemu z rodzeństwa, udało się kiedyś w niego trafić i choć wiedział, że Cutter i ich młodszy brat Beau nigdy nie zdołają tego dokonać, i tak w te noce, kiedy rodzice byli kompletnie pijani, ciągnął ich do baru. Bo to było jedyne, co Dewall naprawdę miał – ten dowód na to, że potrafi zrobić coś, czego inni nie potrafią.

Cała ich trójka dorastała z popękanymi wargami i zakrwawionymi knykciami, polując na aligatory i zbierając ich jaja do prowadzonej przez rodziców hodowli, która ostatecznie stała się jedynym, co Vin Labasque i Gina Stokes pozostawili swojemu potomstwu po tym, jak ich samochód wypadł z autostrady przy prędkości stu sześćdziesięciu kilometrów na godzinę. To, stosy niezapłaconych rachunków oraz gadzią brutalność między trojgiem rodzeństwa Labasque’ów, którą rodzice w nich rozwijali.

Cutter to dwudziestoośmioletnia kobieta o topornej sylwetce; nosi brudne buty i ma ciemne włosy, które pewnej nocy w łazience baru wygoliła po jednej stronie do gołej skóry. Każdy, kto podszedłby do niej wystarczająco blisko, poczułby zapach resztek jointa, którego właśnie wypaliła w samochodzie – zioła

smakującego jak bagno, w którym kiedyś jako dziecko niemal utonęła – ale nikt tego nie robi. Nie podejdzie wystarczająco blisko. Mężczyźni i kobiety trzymają się od niej z daleka od wieczoru jej szesnastych urodzin, kiedy syn szeryfa wsadził jej rękę pod bluzkę, a Cutter ugryzła go w palec.

– Jak to smakowało? – z ciekawością spytał ją zaraz potem mały Beau, podczas gdy DeWall wrzeszczał na gliniarzy.

Dłubiąc w zębach, żeby wyciągnąć spomiędzy nich resztki skóry, Cutter wzruszyła ramionami.

– Jak cipka jakiejś innej dziewczyny.

Cutter zagląda do baru niemal każdego ranka, rzekomo po to, by dostarczyć kilka kilogramów mięsa aligatora, choć w rzeczywistości przychodzi tu, by nacieszyć się ciszą. Albo nie, to złe słowo, bo w barze nigdy nie jest naprawdę cicho; to miejsce zawsze rozbrzmiewa brzękiem kubków i sztućców, szuraniem taboretów przy ladzie, warkotem sufitowych wiatraków, ukradkowymi rozmowami, gdy wymieniane są plotki, kaszlem robotników z fabryki. Wszystko to składa się jednak w głowie Cutter na swoisty biały szum, który daje jej upragnioną ucieczkę – od hodowli, od długów, od braci. Zwłaszcza tego poranka. Zwłaszcza gdy wie, co musi zrobić.

Ciesząc się z tej chwilowej odskoczni, Cutter pozwala swoim uszom dostroić się do głosu młodej Kaylee Petitpas ścierającej ladę, przy której jej brat Sasha i chłopak Tyrone dopijają kawę.

– Słyszeliście, że Loyal wróciła do miasta? – pyta Kaylee.

– Nina widziała ją na stacji benzynowej. Powiedziała, że ma teraz wypasione auto i że była w kostiumie ze spodniami, jakby szła na pogrzeb.

– Loyal... to nie ta, co kradła znaki drogowe? – odzywa się Tyrone.

Ma dopiero dwadzieścia jeden lat, ale jego głos jest zachrypnięty jak głos staruszka – z powodu raka krtani. Cutter wie, że Tyrone liczy na odszkodowanie od fabryki plastiku, procesy ciągną się jednak latami i są kosztowne. Tyrone żartuje, że wszyscy tutaj są tak splukani, że nawet fabryka musi odkładać pieniądze, żeby mu zapłacić.

– Nieee, mylisz ją z braćmi Morgan – wtrąca Sasha Pettipas. – Loyal May była w ostatniej klasie, kiedy my dopiero zaczynaliśmy. Dość ładna, trochę jak smutna profesorka.

– Jak kto? – prycha Kaylee.

– Jak ktoś, kto wygląda na mądrego, ale ma jeszcze w sobie coś głębokiego, rozumiesz? Ech, nie rozumiesz, bo nie jesteś ani taka, ani taka.

Tyrone szczerzy zęby w uśmiechu.

– Czekaj, mówisz o tej grubej lasce, tej, której aligator odgryzł pół ręki? Ona ci się podobała, serio?

– Powiedziałem „dość ładna”! Przynajmniej do czasu tej akcji z ręką. To było ohydne.

Kaylee przewraca oczami.

– Człowieku, nawet tego nie widziałeś.

Kaylee to bliźniaczka Sashy – do tego stopnia, że prawie w identyczny sposób przymyka oko, gdy się uśmiecha, jakby w coś celowała. Ma dziką grzywę włosów, przesuszonych od rozjaśniacza, natomiast włosy Sashy są w kolorze wyblakłego różu, z tłustymi odrostami i z ukrytym pod nimi amatorsko zrobionym tatuażem za lewym uchem. Oboje uwielbiają stać nocami na torach i czekać na pędzące po nich pociągi towarowe,

licząc na to, że ktoś kiedyś wyskoczy i ich uratuje.

Teraz Sasha rozgląda się szybko po barze, po czym nachyla się do siostry i jej chłopaka i gdy się odzywa, w jego głosie pobrzmiwa nuta mrocznej radości.

– Wiecie chyba, co Loyal naprawdę tu robi, prawda?

Skonsternowane miny Kaylee i Tyrone’a wywołują u Sashy uśmiech zadowolenia. Rozkoszuje się ich niewiedzą, jak ktoś, kto ma tak mało, że nawet posiadanie skrawka plotki cieszy go, jakby to był pomięty banknot dolarowy.

– Loyal wróciła do Jacknife, bo jej mama zwariowała.

– Zawsze była stuknięta – zauważa Kaylee. – Myślisz, że dlaczego tata Loyal odszedł?

– Nie tak jak teraz. Podobno sąsiedzi znaleźli Rosę May na podwórku, kiedy grzebała w ziemi gołymi rękami. Wezwali gliny i w ogóle. No więc Loyal musiała porzucić tę swoją wielką gazetę w Houston i wrócić do domu, do tej dziury pośrodku niczego.

Kaylee patrzy na brata, podejrzliwie marszcząc brwi.

– A ty skąd to wszystko wiesz?

– Stąd, że Loyal pracuje teraz dla mojej gazety. Pomaga mnie i wujkowi Chuckowi przenieść ją do internetu.

– Daj spokój – rzuca Kaylee. – Parę horoskopów i recenzji steków z suma to jeszcze nie gazeta.

Sasha pokazuje siostrze język i rodzeństwo stroi do siebie miny, po czym zaczynają rozmawiać o częściach samochodowych i piosenkach pop, o tym, która dziewczyna ze szkoły ma już trzecie dziecko i kto zastrzelił bezpańskiego psa na ich podwórku. Ale Cutter ledwo cokolwiek z tego słyszy.

A więc Loyal wróciła w końcu do domu.

Jedyną rzeczą, o której Cutter potrafi teraz myśleć, jest to, że jej bracia nie mogą się o tym dowiedzieć – jeszcze nie. Nie, dopóki ona nie posprząta bałaganu z ostatnich kilku tygodni. Bracia i tak będą na nią wściekli; ostatnie, czego jej teraz trzeba, to Loyal rozgrzebująca stare rany.

Nagle robi jej się potwornie gorąco i ma wrażenie, że parne powietrze w barze napiera na nią, jakby chciało ją stąd przepędzić, jakby była tu nieproszonym gościem. Zostawia więc pieniądze na stoliku i rusza do drzwi. Czuje początki bólu głowy pulsującego między oczami. W momencie, gdy wyslizguje się na zewnątrz, słyszy za plecami szybki i ostry głos Kaylee Pettipas:

– Boże, niech już ktoś inny dostarcza to mięso. Ona mnie przeraża.

– Co, wołałabyś, żeby to był któryś z jej braci? – pyta Sasha. – Przecież oni wszyscy są tak samo szurnięci. Na podwórku przed domem mają zakopane miny przeciwpiechotne własnej roboty. A Dewall to jakiś nazista czy inny zjeb.

– Założę się, że ta twoja smutna profesorka była zadowolona, że w końcu się od nich uwolniła – dodaje Tyrone. – To oni jej to zrobili, prawda? Próbowali nakarmić nią swoje aligatory?

Cutter trzaska drzwiami, zostawiając ich wszystkich za sobą.

Na parkingu pnąca kudzu kołyszą się leniwie na przewodach telefonicznych w górze, a powietrze jest ciężkie od duchoty. Jest na tyle wcześnie, że nad niekoszoną łąką, która ciągnie się od baru aż po bagna graniczące z jeziorem Verret, wisi lekka mgła, tak że masywne dęby w pobliżu wydają się na niej unosić. Modrzewie, przez lata powalane na kolana przez

huragany, są zgięte wpół, ale wciąż trzymają się ziemi, bo ich korzenie wrosły głęboko w glebę na długo wcześniej, zanim biały człowiek postawił tu stopę. Pośród tego krajobrazu Cutter się hartowała. Miejsca takie jak to, rozsiane po całym dorzeczu Atchafalayi, wyglądają, jakby natura powoli je odzyskiwała – a one najwyraźniej się temu nie opierają. Cutter kocha to miejsce, ale tego ranka drzewa, woda i brzęczące w wysokiej trawie owady wydają się jej dziwnie odległe.

Coś się zmieniło.

A może to ona się zmieniła, myśli.

Stojąc na parkingu, czuje, jak nagle po jej plecach przebiega dreszcz, mimo że dzień jest upalny i nie ma jeszcze nawet ósmej. Rano, gdy się obudziła, zorientowała się, że Dewall już wypłynął łodzią; przynęty i haki też zniknęły – wyruszył łowić aligatory bez niej, choć miała być jego snajperem. To stąd wiedziała, że brat coś podejrzewa. Wciągnięcie trzystukilogramowego aligatora na łódź to robota dla dwóch osób – chyba że ktoś chce nadwyrężyć sobie plecy albo skończyć zmiażdżony przez prymitywne szczęki. Dewall ją karze – narażając siebie, jasne, ale też odbierając jej jedyną rzecz, która wciąż jeszcze naprawdę rozgrzewa jej krew: szansę wypłynięcia na bagna.

Bo nie ma nic, co mogłoby się z tym równać. Z tym, jak świat nagle cichnie, kiedy w pobliżu pojawia się aligator. Z tym, jak żadna ropucha, żaden ptak ani nawet żdźbło trawy nie śmia się poruszyć. A potem woda zaczyna gwałtownie bulgotać, czarny łeb wynurza się na powierzchnię i pradawny gad wystrzeliwuje w górę, sycząc jak demon i wstrząsając całą łodzią, a lina z przynętą wrzyna się Dewallowi w dłoń, gdy on próbuje utrzymać sukinsyna i krzyczy: „Przyłóż mu,

dziewczyno! Przyłóż! Daj mu popalić!”. Nic nie równa się z tym, jak huk wystrzału zdaje się płynąć prosto z wnętrza Cutter, gdzieś spod samych jej żeber, z tym, jak czuje ten strzał w gardle i pomiędzy nogami. I wie, że jest dobrą zabójczynią.

A jednak teraz zwleka.

Ociąga się przed powrotem do pick-upa i pokonaniem tych krętych pustych kilometrów, dzielących ją od przystani, bo wtedy już nic nie będzie stało między nią a tym, co musi zrobić. Między młotem a kowadłem nie ma wiele miejsca na ucieczkę. Będzie musiała stawić czoło braciom albo to oni stawiają czoło jej – a Sasha Petitpas nie mylił się w tym względzie: Labasque’owie nie są jak inni ludzie. Zdradę przyjmują tak, jak niedźwiedź przyjmuje porcję śrutu w bok.

Po śmierci rodziców to Dewall nauczył Cutter, jak radzić sobie w świecie, jak stawiać się facetom dwa razy większym od niej, bez sikania w majtki, jak trzymać język za zębami, gdy pojawiają się gliniarze. Nauczył ją czaić się w zaroślach i wypatrywać jeleni, nauczył zszywać rany, brać na siebie ból i przełykać go bez słowa. Miłość w ich rodzinie była zawsze szorstka, brutalna i pełna siniaków, ale uczyniła ją silną.

Jej matka mawiała: „Spaliłeś za sobą mosty, to leż teraz na nich”, kalecząc stare powiedzenie, ale w tej chwili wydaje się to bardzo trafne. Cutter wie, że będzie musiała być naprawdę silna, by znieść ból, który nadchodzi, ale przecież nie może wiecznie ukrywać się w barze.

– Pierdolić to – mamrocze, szorując piętą buta po żwirze.

– Pierdolić aż do samego końca.

A potem, przez wzgląd na dawne czasy, podchodzi do szyldu, rozpina dżinsy i kuca w pożółklej trawie oplatającej

zardzewiały metalowy słup. Ma nadzieję, że bliźniaki Petitpas zobaczą, jak na niego sika – przynajmniej będą miały nowy temat do plotek.

2

Domy przy drodze dojazdowej do Jacknife stoją w sporej odległości od siebie i są zaniedbane do tego stopnia, że to aż absurdalne. Tu połowa drzwi została pomalowana, a potem pracę porzucono, tam drabina stoi oparta o ścianę tak długo, że pnącza kudzu zdążyły związać ją z deskami elewacji, a w oknach zamiast rolet tkwią pożółkłe gazety. Jako dziecko Loyal nigdy nie miała jakiegoś szczególnego stosunku do okolicy, w której mieszkała. Domy były po prostu domami, tak samo jak niebo było niebem, a porośniętą wysoką trawą pola były po prostu polami, gdzie czaiły się kleszcze i żmije. Ale teraz, po dziesięciu latach życia z dala od tego miejsca, do którego wracała jedynie sporadycznie, kiedy grafik jej na to pozwalał, uderza ją, jak bardzo opuszczone się wydaje. Nie jest pewna, czy podoba jej się to, że okna w jej ślepych zaułku są tak ciemne. To, że nie widać tu nikogo innego, nawet gdy bardzo stara się kogoś wypatrzeć.

Ostatni dom na ulicy należy do jej matki. Wygląda gorzej, niż go zapamiętała – ceglana ściana nosi blizny po werandzie, którą rozebrano, ale nigdy nie zbudowano nowej. Kiedy jednak

Loyal wysiada z samochodu, czuje w powietrzu zapach świeżości zmieszany z kojącą wonią czegoś pieczonego. Lepsze powitanie, niż oczekiwała, niż sądziła, że na nie zasługuje.

Rosa May nie zawsze była kochana, więc o miłości wie więcej niż inni. Dla niej miłość to wypolerowane buty, polne kwiaty w wazonie na stole i ciasto red velvet, które często piekła, kiedy Loyal była dzieckiem – zwłaszcza gdy miała trudny dzień w szkole. Tak było, dopóki te trudne dni nie stały się zbyt częste, a ojciec nie zaczął narzekać, że Loyal przytyje, do czego zresztą rzeczywiście doszło.

– A co w tym złego, że przybierze trochę kilogramów? – burzyła się jej matka. – Lepsze to niż twoja praca w tej fabryce raka. Co to jest odrobina ciasta w porównaniu z tymi oparami, które tam codziennie wdychacie?

Teraz Rosa stoi w maleńkiej kuchni, gdzie na ścianach widać łuszczącą się farbę, i rozkłada ramiona. Wygląda lepiej, niż Loyal się spodziewała – ma rumieńce na policzkach, a jej mysie włosy są związane jedwabną chustką, zupełnie jak na rozsianych po całym domu starych polaroidach z lat siedemdziesiątych. Ale Loyal dobrze wie, tak jak każdy, że pozory mogą mylić.

– Och, kochanie, spójrz no tylko na siebie! – woła Rosa. – I po co ci ta szminka? Aż tak nie musiałaś się stroić... to raptem przejazd z jednego stanu do drugiego.

Loyal nie potrafi wymyślić, w jaki sposób powiedzieć matce, że w rzeczywistości musiała. Że zbyt dobrze pamięta tamtą ponurą, czerwoną na twarzy nastolatkę, która dziesięć lat temu podążyła za ojcem do Teksasu, wlokąc ze sobą żal i złamane serce. Tak naprawdę uciekając. Z nadzieją, że błędy, które po-

pełniła, znikną razem z widokami w lusterku wstecznym. Nie może cofnąć tego, co wydarzyło się wtedy w Jacknife, ale przekonała samą siebie – choć wcale nie do końca – że jeśli będzie wyglądać i mówić jak inna osoba, to może nikt jej tutaj nie rozpozna.

Mimo to ściera szminkę z ust wierzchem dłoni, myśląc, że podejmowane przez nią próby bycia bardziej kobiecą często przypominają źle dobrany strój. Gdyby miała w sobie choć odrobinę determinacji, w szkole mogłaby zostać zajadłą bramkarką, lecz myśl, że ktoś miałby oglądać ją w szatni półnagą, przyprawiała ją o mdłości. Wolala spędzać wieczory na buszowaniu w mobilnej bibliotece na skraju miasta albo siedzieć w lesie i pisać powieści, które do niczego nie prowadziły. Poza tym nie chodziło o wagę – poznała wiele dużych kobiet z nie-nagannym wyczuciem stylu i makijażem, którymi mogłyby zawstydić profesjonalistki. Po prostu czasami miała wrażenie, że niezależnie od tego, jaką istotę Bóg próbował z niej stworzyć, decyzję o uczynieniu jej kobietą musiał podjąć w ostatniej chwili. Jej ojciec mawiał, że ma sylwetkę boksera, ale tak naprawdę, kiedy patrzy na siebie w lustrze – co robi z bezradną, gorączkową obsesją nałogowca – uważa, że wygląda bardziej jak niedźwiedź stojący na tylnych łapach, świadomy, że w każdej chwili będzie musiał opaść na cztery, bo taka jest właściwa dla niego pozycja.

Matka, zawsze wyjątkowo szczupła i drobna, mówi:

– Powinnaś iść ze mną dziś wieczorem. – Odmierza czerwony barwnik spożywczy, a każdy jej ruch jest precyzyjny i delikatny. – Ojciec Osbey organizuje kiermasz wypieków. Ucieszy się na twój widok. Wszyscy się ucieszą.

- Myślałam, że pieczesz to ciasto dla mnie.
- W zeszłym tygodniu ktoś wybił okno w kościele. – Matka kręci głową i cmoka z dezaprobatą. – Prawdopodobnie dzieciaki. Wiesz, jakie potrafią być, skoro nie mają tu nic do roboty.
- Loyal się śmieje.
- Czy to miał być przytyk do mnie?
- Do ciebie? Ależ nie, kochanie. Ty zawsze potrafiłaś znaleźć sobie zajęcie.

Loyal ma wrażenie, że to jednak mógł być przytyk, ale nie winiłaby o niego matki. Niezbyt cieszy ją perspektywa pójścia na kościelny kiermasz i spotkania tam dawnych znajomych, których z ulgą przed laty zostawiła za sobą, ale rozumie, że tu nie chodzi o nią. Dla matki dobrze będzie pobyc wśród ludzi. Loyal wie – z rozmów telefonicznych, które prowadziły przez ostatnie lata, i z rzadkich spotkań w Houston – że na emeryturze matka spędza czas głównie w samotności. Pieczenie, produkcja wina, chodzenie samej do kina... Tak się to dzieje w przypadku niektórych ludzi, Loyal świetnie to zna: można skończyć wykluczonym ze społeczności, nawet jeśli nie zrobiło się nic złego.

Jej rodzice nie byli młodzi, kiedy się urodziła, a ich małżeństwo już wtedy się rozpadało, więc przez większość dzieciństwa Loyal Rosa była samotną matką. I choć nikt w Jacknife nie powiedziałby tego na głos, lokalna społeczność widziała w Rosie jakąś skazę. Bo jaką matką trzeba być, żeby dopuścić do tego, by córkę zaatakował aligator? Jaka matka pozwoliłaby byłemu mężowi przyjechać i zabrać jej dziecko? Teraz jednak, gdy Rosa podupada na zdrowiu, wydaje się konieczne, by znów przyjęto ją do społeczności, by poszła do kościoła i

sprzedawała tam to swoje ciasto red velvet. Nastroje ludzi w tych stronach, jak i w całym kraju, potrafią zmieniać się z dnia na dzień, zupełnie jakby życzliwość była domem postawionym na skraju osuwiska.

Loyal wzdycha i pociera chropowaty bok dłoni. Miała siedemnaście lat, kiedy straciła kawałek ręki i mały palec na skutek ataku aligatora z hodowli Labasque'ów. To był dokładnie taki pretekst, jakiego szukał jej ojciec, by zażądać, żeby przeprowadziła się do niego, do Houston. I choć rana dawno się zabiłżniła, wspomnienie tego dnia wciąż jest bolesne. Jeśli się zastanowić, przeprowadzka do Teksasu była jedną z tych szalonych, wielkich decyzji, których podjęcia dorośli ciągle oczekują od nastolatków, nie zdając sobie sprawy, że mogą one wpłynąć na całe ich życie. Ale w tamtym momencie Loyal rozpaczliwie pragnęła wyjechać, więc to zrobiła, nie myśląc zbyt wiele o matce, którą tu zostawiała.

– Hej, słuchaj, mam – mówi. – Pomyślałam, że jutro mogłybyśmy porozmawiać na spokojnie. O tym, jak się czujesz. Poszukałam już specjalistów i jest jeden taki neurolog w...

– Skarbie, ale ja przecież nie potrzebuję żadnego neurologa. Mam się świetnie.

– Nie to mówili mi ludzie z biura szeryfa.

– Och, cóż, skoro szeryf powiedział coś innego... – Matka podnosi ręce w geście udawanej rezygnacji. – Naprawdę nie wiem, dokąd ten świat zmierza, skoro kobieta nie może już sobie nocą pogrzebać w ogródku, żeby na jej progu nie zjawiała się policja. Przecież tłumaczyłam im, mówiłam zastępcy szeryfa, że tylko chciałam sprawdzić, czy wiewiórki nie dobrały się znowu do tulipanów.

– Tak, ale, mam... w środku nocy? No i chodzi nie tylko o to...

– Słyszałam je, jak drapały. Słyszałam, nawet leżąc w łóżku.

Loyal patrzy, jak matka ostrożnie przelewa ciasto do formy. Zaschnięty pod jej paznokciami barwnik spożywczy wygląda jak krew.

– Tak czy siak – ciągnie Rosa – nie zaczynamy z tym od nowa. Wiesz, jak tutaj jest... Jeśli tylko dasz temu spokój, to jeszcze przed końcem tygodnia ludzie znajdą sobie nowy temat do plotkowania. Najważniejsze, że wróciłaś, kochanie. Że jesteś w domu. O nic się już nie martw. Wszystko będzie dobrze.

Loyal nie podoba się, że widzi, jak wiele wysiłku kosztuje matkę to, żeby się uśmiechnąć. Nie może znieść myśli o niej, jak leży samotnie w ciemności sypialni, przekonana, że coś drapie na zewnątrz. Nie może znieść myśli, że matka się bała. Ale w końcu przecież właśnie to sprowadziło Loyal z powrotem do domu. I choć wie, że tamten nocny incydent w ogródku nie był odosobniony, chyba tli się w niej jeszcze dziecięce wyobrażenie, że jej obecność wszystko naprawi.

Mimo to, stojąc w kuchni, którą kiedyś znała tak dobrze, boi się o matkę. Jej strach jest niczym ciężki, zimny i śliski kamień, prosto z dna rzeki. Obawia się, że przyjechała za późno. I nawet teraz, choć minęło już tyle lat, wciąż czuje, że w jej rodzinnym miasteczku, z jego plotkami i ostrymi językami, jest coś, co sprawia, że boi się także o siebie.

3

Kościół Naszej Pani Boskich Wód pochyla się wśród drzew, jakby szukał w nich oparcia. Połamane belki nawy, obrośnięte pnączami kudzu, wznoszą się ku niebu niczym dłonie złożone w modlitwie, wdzięczne za to, że nadal tu stoją mimo przejścia Katriny przed niemal dwudziestu laty. Kiedy Loyal i jej matka wysiadają z samochodu, wieczorny chór owadów ukrytych w zaroślach wyśpiewuje swoje pieśni aż po horyzont, a słońce, balansując na krawędzi świata, maluje kościół i zarośnięty trawą parking różowymi i złotymi smugami.

Rodzice Loyal nigdy nie traktowali wiary zbyt poważnie. To było po prostu coś, co się robi, sposób, by trzymać rękę na pulsie tego, co dzieje się w miasteczku, i przypominać innym, że wciąż istniejesz. Z dzieciństwa i chodzenia do kościoła Loyal najbardziej pamięta Labasque'ów. Wymykanie się do okolicznych lasów podczas mszy, dzielenie się whisky z piersiówki, którą Cutter zakopała u podstawy starego dębu. Wszyscy, choć krztusili się i kasłali, twierdzili, że to najlepsza rzecz, jaką kiedykolwiek pili – i może rzeczywiście tak było.

Beau znał nazwę każdego ptaka ćwierkającego wśród gałęzi. Cutter potrafiła rozpalić ogień z niczego. Umieli też przywołać diabła z ziemi, a przynajmniej tak mówili. Loyal wtedy im wierzyła, wierzyła we wszystko, co jej powiedzieli, bo ich świat wydawał się o wiele bardziej kolorowy niż jej własny. Beau miał zostać zawodowym bokserem, Cutter piratem albo gwiazdą rocka – wtedy jeszcze nie podjęła decyzji.

– A ty, Loyal? Co będziesz robiła, kiedy skończysz szkołę?

Wracali do domu pewnego popołudnia, z włosami wciąż mokrymi po pływaniu w jednej z odnóg rzeki na skraju miasta, gdzie Atchafalaya wpadała do niczego, a woda była zbyt płytka, żeby martwić się aligatorami.

– Chcę pisać – odparła. Mogła im to powiedzieć, bo wydawało się to równie nierealne, jak zostanie korsarzem czy bokserem. – Nieważne o czym, po prostu chcę pisać.

– Byłabyś w tym dobra – oświadczyła z zapalem Cutter. – Jesteś strasznie mądra.

Loyal pamięta, jak pomyślała wtedy, że tak naprawdę chciałaby być jedną z nich. Ale to było ich ostatnie lato, ich drogi już się rozchodziły, tak jak mięso odchodzi od kości.

Teraz, patrząc na mały tłum ustawiający stoły przed kościołem, czuje ulgę, że nie dostrzega nigdzie ani Cutter, ani jej braci. Niemniej jest tu sporo osób, które zna, i każda z nich stara się do niej podejść, przywitać się, powitać ją z powrotem i zapytać, czy zostaje na stałe, czy też przyjechała tylko w odwiedziny, jakby jeszcze tego nie wiedzieli.

Jest też ojciec Osbey, który wyglądał na sto lat, już kiedy Loyal była małą. Jego świszczący dyszkant od czasu do czasu przechodzi w cajuńską francuszczyznę, gdy ksiądz opowiada

Loyal o tragedii rozbitego okna.

– Byłem tu sam, słyszałem, jak pękło. Wiesz, co wrzucili do mojego kościoła? Czaszkę kota. *Incroyable**. Wychodzę za drzwi, żeby zobaczyć, kto to zrobił, i nie wierzę własnym oczom... Pomyślałem, że mam przywidzenia, że to jakaś gra światła... złudzenie optyczne, ot co...

Genie Petitpas przewodniczy największemu stołowi na kółkach; lakier w burzy jej złocistych włosów lśni, gdy kobieta precyzyjnie kieruje innymi, mówiąc, gdzie mają umieścić swoje kwadratowe pączki, słynne beignety, oraz tarty z orzechami pekan czy ciasteczka oreo smażone w cieście naleśnikowym, a jej wargi wykrzywiają się, ilekroć dostrzega coś owiniętego w folię spożywczą. Jeśli to konkurs, Genie niezaprzeczalnie jest w nim sędzią i każdy, kto nie sprostą jej niesłychanie wysokim standardom, do jutra na pewno stanie się głównym tematem plotek w miasteczku. Oczywiście jedzenie, które sama przygotowała, będzie wspaniałe, chociaż chodzi tu nie tylko o jej potrawy, lecz także o ducha tego spotkania. Ludzie jak zawsze polegają na Genie, wierzą, że urządzi je tak, by czuli, że miało pełne prawo się odbyć. Jej obecność to znak, że kiermasz wypieków okaże się sukcesem, niezależnie od tego, ile pieniędzy na naprawę kościelnego okna ostatecznie uda się zebrać.

Są też Jered Morgan i jego brat Elliot, którzy przewrócili Loyal na parkingu po balu maturalnym, choć na ich obronę należy powiedzieć, że próbowali wtedy uderzyć Beau, a Loyal po prostu znalazła się na ich drodze. Jeśli któryś z Morganów to pamięta, nie dają nic po sobie poznać. Posyłają leniwy salut w

* *Incroyable* (fr.) – nie do wiary.

jej stronę, a ona zastanawia się, jak to jest móc tak łatwo odsunąć od siebie przeszłość.

Dostrzega jeszcze kilka innych znajomych twarzy ze szkolnych lat – większość tych ludzi to teraz małżeństwa, niektórzy prowadzą za sobą gromadkę dzieci niczym sznurek kaczątek. Mała rudowłosa dziewczynka, która podbiega i przytula się do jej nogi, obśliniając trochę jej kolano, okazuje się córką Yvie Bourque – tej, na której lśniąca kasztanowe loki i wąską talię Loyal kiedyś patrzyła tęsknie. Yvie, niestety, pamięta, jak Loyal rozciągnęła się plackiem na ziemi tamtej nocy po balu.

Śmieje się z tego teraz, a jej uszminekowane usta marszczą się wzdłuż znajomych linii.

– Znaczący... no wiesz... zadawałaś się z Beau Labaskiem. To wręcz jak proszenie się o kłopoty.

Loyal chwilę przeżuwa słowa, zanim je wypowiada.

– Beau był w porządku.

– Może kiedyś był. Teraz wszyscy oni zdziczeli.

– Co masz na myśli? – Według Loyal Labasque’owie zawsze byli dzicy.

– Już nawet nie chodzą do kościoła. Snują się tylko tam, na tych swoich bagnach. Tak jest od... no cóż, chyba mniej więcej od czasu, kiedy wyjechałaś.

Loyal nie podoba się sposób, w jaki Yvie łączy te dwie rzeczy. Jakby jedno miało coś wspólnego z drugim.

– Nie sądzę, żeby odcinanie się od ludzi było dobre – ciągnie Yvie. – Tutaj wszyscy na sobie polegamy. Przechodzimy razem powódzie, susze. Nie wydaje mi się zdrowe udawać, że inni nie są ci do niczego potrzebni.

Loyal wykonuje gest będący czymś pomiędzy wzruszeniem

ramion a skinieniem głowy, dając do zrozumienia, że raczej się zgadza, i Yvie uśmiecha się uprzejmie.

– Wiesz, Loyal, świetnie wyglądasz. Schudłaś? Powinnas pogadać z moim Jedem, przekonać go, żeby przejrzał na oczy.

– Przejrzał na oczy?

– No, dieta i ćwiczenia, takie tam. – Yvie znów się śmieje, wskazując głową barczystego mężczyznę w koszulce New Orleans Saints, który zaciąga się papierosem, jakby chciał się nim ogłuszyć.

Loyal czuje ulgę, gdy Yvie odkleja córkę od jej nogi i wraca do swojego całkowicie przeciętnych rozmiarów męża. Nigdy nie wie, co powinna odpowiadać, gdy ludzie zwracają się do niej w ten sposób. Na końcu języka zawsze ma żalosne „dziękuję”, ale tak naprawdę chciałaby powiedzieć: „Jasne, Yvie! Jeśli chcesz, mogę pożyczyć mu trzonek od szczotki do włosów, który wypychałam sobie do gardła, żeby zmusić się do wymiotów!”. Oczywiście przy takich osobach jak Yvie Bourque należy po prostu czuć się zaszczyconym, że w ogóle się do ciebie odezwały.

Oddała się od tłumu, obserwując, jak powietrze faluje i tańczy w upale, i słuchając cykania świerszczy w podszyciu. Musi się przyzwyczaić do braku klaksonów i syren policyjnych jako dźwięków w tle, chociaż nie może powiedzieć, że będzie za nimi tęskniła. Zawsze wiedziała, że przeprowadzi się do jakiegoś większego i bardziej tętniącego życiem miejsca, by studiować dziennikarstwo – to był jeden z powodów, dla których wyjazd z ojcem wydawał się jej wtedy tak kuszący. Ale wciąż pamięta tamte pierwsze noce w Houston, kiedy miała poczucie, że odcięła się od czegoś naprawdę istotnego, bo nie mogła

usłyszeć rechotu żab o zachodzie słońca.

Teraz cieszy ją, że ma trochę przestrzeni. Kobiety takie jak Yvie zawsze działały jej na nerwy. Wilgotność powietrza nie miała żadnego wpływu na ich idealnie ułożone fryzury; nigdy nie wyskakiwały im pryszcze, nie miały wysypek; ich okres nigdy nie ośmieliłby się być zbyt obfity. Jakby były ulepione z zupełnie innej gliny niż ona. I nawet gdy już mieszkała w Houston, nawet w swoich kostiumach ze spodniami, z mocno czerwoną szminką na ustach i kręconymi włosami (wtedy preferowała styl rockabilly, z którego czasami bywała całkiem dumna), wciąż i tak czuła – kiedy stała obok jednej z takich zadbanych kobiet – że dla wszystkich wokół jest oczywiste, że coś robi źle. Czuła się jak zwykła kobieta z supermarketu. Mogła stosować się do internetowych porad w sprawie układania fryzur czy kupować drogie kosmetyki, a i tak ciągle dręczyło ją przekonanie, że wszystko robi błędnie.

Tak samo było, kiedy tu mieszkała, myśli, idąc przez wysoką trawę graniczącą z przykościelnym cmentarzem. W dzieciństwie miała poczucie, że jakimś sposobem trafiła do niewłaściwego świata, z którego przez strony tylu książek desperacko próbowała wrócić do właściwego. W dusznej mobilnej bibliotece, zatrzymującej się w Jacknife na trzy dni każdego miesiąca, pochłaniała opowieści o gotyckich dworach, szalonych kobietach i twardych detektywach w pewnej wersji Nowego Jorku, który potrafiła wyobrazić sobie tylko w czerni i bieli. Dajcie mi złamane serce, myślała wtedy, dajcie mi krew. Boże, gdyby tylko wiedziała...

Nagle się zatrzymuje.

Przed nią, w cieniu ogromnego dębu, stoi jej samochód, a

na jego tylnej szybie widnieje namalowany jaskrawoczerwonym sprejem napis: PRZYNEŃTA DLA ALIGATORÓW.

Loyal czuje mrowienie na karku. Przez chwilę ma dziwne wrażenie, że powietrze pulsuje, że wyczuwa w nim bicie czyjegoś serca. I w jakiś sposób wie, nie potrafiąc tego wyjaśnić, że jeśli teraz się odwróci, zobaczy kogoś stojącego za nią, obserwującego ją zza drzew.

Ale kiedy się odwraca, nikogo tam nie ma. Są tylko cienie kłębiące się pośród korzeni i chwastów.

– Kto mógłby coś takiego zrobić? – odzywa się jej matka, gdy Loyal przywołuje ją do siebie.

Niczym pies, który zwęszył zapach mięsa, Genie Petitpas podążyła za nimi i teraz stoi z rękami na biodrach.

– Chyba wszyscy doskonale wiemy kto – mówi.

– Ale przecież byśmy ich widzieli, prawda?

– Tak samo jak ojciec Osbey widział, kto rozbił okno w kościele? Obudź się, Rosa, to nie tak, że nie mają motywu. – Genie błyska w stronę Loyal sztywnym uśmiechem. – Bez urazy, skarbie.

Ale ma rację.

Loyal myśli o tym, gdy odwozi matkę do domu – obie starają się nie patrzeć w lusterko wsteczne, na zabarwione czerwienią promienie słońca, które przebijają się przez farbę. Faktycznie zrobiła Labasque’om coś złego, tego lata przed wyjazdem. Aligator Cutter ugryzł ją w rękę, a ona znalazła sposób, by odplacić się przyjaciółce.

„Bayou Leader”, jedyne źródło informacji w Jacknife, miało kiedyś rubrykę, w której miejscowe dzieciaki mogły zamieszczać krótkie teksty: recenzje filmów, ulubione knajpki,

tego typu rzeczy. Dorastając, Loyal napisała kilka takich artykułów, chociaż ostatni, który wysmażyła, miał zupełnie inny ton.

Można by pomyśleć, że to aligatory stanowią największe zagrożenie dla ludzi na bagnach. Może to sezon huraganów spędza wam sen z powiek. Albo boicie się ukąszenia jadowitego węża i wykrwawienia się na śmierć, gdy jesteście wiele kilometrów od najbliższego lekarza. To wszystko naturalne zagrożenia, które zaakceptowaliśmy jako część życia w tym pięknym, choć śmiertelnym środowisku, ale jeśli zagrożeniem są ludzie? W szczególności jedna rodzina od dawna rzuca cień na nasze dzikie tereny...

Wciąż pamięta ten tekst, słowo w słowo. A może tylko jej się tak wydaje. Może złagodziła go w swojej głowie, tak żeby mogła zrzucić odpowiedź Cutter – a właściwie jej milczenie, brak kontaktu przez ostatnie dziesięć lat – na karb przesadzonej reakcji. Ale smak pocucia winy, który towarzyszył Loyal, odkąd opuściła Jacknife, mówi jej, że konkretne słowa, które wtedy napisała, nie mają znaczenia: chodzi o to, że w ogóle je napisała.

Loyal wie o tym, że Cutter zawsze obrywała za wszystko najbardziej. Ona i Beau mieli rodziców, którzy o nich nie dbali, ale najstarszy brat był gorszy. Dewall, dwanaście lat starszy od siostry, kiedyś wybił jej zęba lewym sierpowym; podobno próbował uczyć ją, jak się boksować. Ze swoim mlecznobiałym okiem i zawierającymi słowa z łacińskich modlitw tatuażami na palcach, Dewall zawsze wzbudzał w Loyal przerażenie, a

jednak w głębi duszy jest przekonana, że nic, co zrobił, nie zraniło Cutter tak bardzo jak to, co zrobiła ona, pisząc ten głupi tekst.

– Przestań – mówi jej matka, gdy jadą przez zacienione leśne drogi.

– Co mam przestać? Przecież tylko siedzę.

– Myślisz o nich. Myślisz, że powinnaś pójść z nimi porozmawiać. Oczyszczyć atmosferę. Nie rób tego.

Loyal uzmysławia sobie, że ścisła kierownicę tak mocno, że zablizniona strona dłoni zaczyna ją boleć. Zwalnia i zatrzymuje się na poboczu pustej drogi, po czym powoli wypuszcza powietrze z płuc.

– Nie mogę tu mieszkać i tak po prostu nigdy więcej z nimi nie rozmawiać.

– Musisz. Oni zeszli na złą drogę, rozumiesz? Jeśli będą chcieli cię skrzywdzić, to i tak cię skrzywdzą. Nie po to odzyskałam córkę po tylu latach, żebym miała pozwolić, by dokończyli karmić nią swoje zwierzęta.

– Co znaczy „zeszli na złą drogę”? – Loyal przypomina sobie, co powiedziała Yvie Bourque przed kościołem. – I dla czego ludzie ciągle to mówią?

Matka wzrusza ramionami, ale Loyal widzi, że oparte na kolanach dłonie ma zaciśnięte w pięści.

– Jest coś... hm... nie wiem... Coś dziwnego czuje się w mieście przez ostatnie kilka miesięcy.

– Co konkretnie masz na myśli? – pyta Loyal.

To jej się nie podoba. Nie podoba jej się sposób, w jaki matka mówi – jak ktoś obcy, kto próbuje ją przestraszyć. Zastanawia się, czy matka nie dostanie zaraz jakiegoś ataku, ale

raczej nie – patrzy w stronę drzew, ich ciemnych konturów na tle surowego pomarańczowego nieba. Nie wygląda na szaloną ani niebezpieczną, po prostu jest trochę nieobecna i zamyślona. Gdzieś z głębi bagien dobiega prehistoryczny ryk ogromnego gada.

– Powiadają, że można ocenić stan środowiska po tym, jak bardzo jest dzikie – odzywa się matka. – Cóż, ja twierdzę, że coś tam jest nie tak.

Zainteresowani tym, co będzie dalej?

Pełna wersja książki do kupienia m.in. w księgarniach:

- KSIĘGARNIE ŚWIAT KSIĄŻKI
- EMPIK

Oraz w księgarniach internetowych:

- swiatksiazki.pl
- empik.com
- bonito.pl
- taniaksiążka.pl

Zamów z dostawą do domu lub do paczkomatu – wybierz taką opcję, jaka jest dla Ciebie najwygodniejsza!

Większość naszych książek dostępna jest również **w formie e-booków**.
Znajdziecie je na najpopularniejszych platformach sprzedaży:

- [Virtualo](#)
- [Publio](#)
- [Nexto](#)

Oraz w księgarniach internetowych.

Posłuchajcie również naszych **audiobooków**, zawsze czytanych przez najlepszych polskich lektorów.

Szukajcie ich na portalu [Audioteka](#) lub pozostałych, wyżej wymienionych platformach.

Zapraszamy do księgarni i na stronę wydawnictwoalbatros.com, gdzie prezentujemy wszystkie wydane tytuły i zapowiedzi.

Jeśli chcecie być na bieżąco z naszymi nowościami, śledźcie nas też na [Facebooku](#) i na [Instagramie](#).